

GEORGES MEIRS.

Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

2

— Zareczam ci, że wkrótce zamieni dom nasz cały na bibliotekę i laboratorium, bo przecież także namiennie zajmuje się chemią i pełno u niego retort i stojów z cudacznymi płynami. Poza tem mam wielką cześć dla jego nauki, ale przekonasz się, że kiedyś wysadzi cały nasz pensjonat w powietrze.

— Mam nadzieję, że nie dojdzie do tego — zaśmiała się pani Donay. — Pan Schoetten jest cichym i skromnym człowiekiem. Jest już u nas od dni dziesięciu i przyjmuje wszystko z dobrym humorem i zadowoleniem.

— Jednym słowem, wzór lokatorów — rzekł Wiliam Tharps żartobliwie.

Przybycie dwóch agentów zmieniło kierunek rozmowy. Wysłani zostali przez pana Dumont dla wyszukania śladów, któreby pozwoliły wnioskować, w jaki sposób odbyło się uwieszenie zwłok zamordowanego. Naprawdę jednak przeszukali przedmieścia i wypytywali mieszkańców. Nikt nic nie wiedział i nikt nie mógł odgadnąć, którędy prześlizgnął się zbrodniarz. W małym miasteczku, jakim było Saint Mandé, łatwo było zresztą zauważyć twarz nieznaną, a wszyscy zapytani twierdzili jednogłośnie, że nie widzieli nikogo obcego, wychodzącego z pensjonatu „Donay”, ani kręcącego się po okolicy. Nie widziano również żadnego powozu, ani automobilu.

Tajemnica więc uwieszenia zwłok została dalej niezbadaną i podrażnieni urzędnicy policyjni, widząc bezowocność dalszego śledztwa, pożegnali panią Donay i pułkownika Ricotte i opuścili pensjonat, pozostawiając na miejscu dwóch agentów. Dwóch innych miało strzedz ogrodu i głównego wejścia.

— Zechciej mnie pan zawiadomić telefonicznie, jeżeli zajdzie coś nowego — prosił pan Dumont Wiliama Tharpsa. — Pan zapewne jeszcze tu zostaje. Znam zaciętość pana w podobnych wypadkach i wiem, że będzie pan tu dalej szukał i badał.

— Tak jest — odparł Tharps. — Zainteresowała mnie bardzo zawziętość tej zbrodni, a przytem nie mam na razie nic ważniejszego do czynienia. Zabawię tu jeszcze chwilę wraz z moim przyjaciелеm.

Pożegnawszy się z nimi, pan Dumont odjechał. Kiedy wsiadał do oczekującego go powozu, Tharps zwrócił się do mnie i uśmiechnął się.

— Z czego się śmiesz? — zapytałem go.

— Ten poczciwy Dumont bierze mnie za swego przyjaciela — odparł Tharps. — Czy zauważyłeś, Synhamie, z jaką prostotą prosił mnie o zawiadomienie go, gdyby coś zaszło nowego? Śmieszny człowiek, naprawdę! Powinien mnie znać lepiej i wiedzieć, że nie mam nic wspólnego z tego rodzaju ludźmi — dodał pogardliwie.

Zapalił papierosa i powrócił do pensjonatu.

Szedłem obok niego i widziałem, że był zdenerwowany, co nie często mu się zdarzało. Nie chciałem przerywać jego zamyśleń i czekałem, aż sam pierwszy zacznie mówić.

— Widzisz, mój kochany — odezwał się wkońcu — największą moją wadą jest, że byłem zawsze z nadto uprzejmy z tymi ludźmi. Teraz oni współdziałanie moje i pomoc uważają, jak rzecz sobie należną. Ale tym razem mam wielką ochotę pozostawić ich własnemu przemysłowi. Mam już dosyć tej wspólnej z nimi roboty.

Wiliam Tharps mówił z widocznym rozgoryczeniem i niechęcią. Chcąc zmienić kierunek jego myśli, zapytałem go:

— Co myślisz o tej dziwnej historii? Wydaje mi się otoczoną niezbadaną tajemnicą.

— Trudno mi w danej chwili orzec coś stanowczego — odrzekł, otaczając się gęstymi kłębami dymu. — Znajdujemy się wobec faktu, którego wykonanie zużyć musiało wiele przebiegłości i odwagi z jednej strony, z drugiej zaś niewątpliwem jest tajemne a zręczne współnictwo i nad tem właśnie zastanawiam się najwięcej.

— Co do mnie, nie bardzo wierzę temu wszystkiemu, co wykazało śledztwo w pensjonacie.

— Zeznania wszystkich tych ludzi są szczere, zareczam ci.

— Może wśród służby...

— Nie, nie! — przerwał mi niecierpliwie — to jest wykluczone. Nikt ze służby nie przykładał ręki do tej zbrodni.

— Ale w każdym razie przyznać trzeba, że okoliczności dziwnie sprzyjały tajemniczemu mordercy...

Tharps zbyt milczeniem moje słowa i zapalił drugiego papierosa.

— Czy nie jesteś tego samego zdania? — nalegałem, chcąc go zmusić do dalszego wypowiedzenia swoich myśli.

— Nie pytaj mnie teraz o zdanie, Synhamie — odpowiedział. — Chwilami cała ta sprawa wydaje mi się prosta i jasna aż do śmieszności.

— Jak to rozumiesz? Widocznie masz już ustalone dowody, lub podejrzenia...

— Nie, nie mam nic ustalonego i proszę cię nie pytaj mnie więcej, bo sam nic nie wiem. Powtarzam ci tylko, że chwilami cała sprawa wydaje mi się prosta i jasna aż do śmieszności.

Dziwny przypadek profesora.

Słowa ostatnie Tharpsa, wyrzeczone z całą powagą i pewnością siebie, zaintrygowały mnie silnie.

Domyślałem się, że w umyśle jego przeciwstawiły się dwie różne sobie zupełnie hipotezy, z których jedna, jak sam mówił, była „prosta aż do śmieszności”.

Już niejednokrotnie miałem sposobność przekonać się, jak lekko i łatwo przyjaciół mój rozwiązywał zagadnienia najzawilsze z pozoru, ale tym razem jednak zdziwiony byłem sposobem zapatrywania się jego na niezrozumiałe dla wszystkich wydarzenia, odegrane w pensjonacie pani Donay.

Wiliam Tharps, przerawszy nagle ze mną rozmowę, pospieszył do pułkownika Ricotte i jego siostrzenicy, rozmawiających z ożywieniem na werandzie pensjonatu.

W kilka minut później wszyscy czworo zebrałiśmy się w gabinecie pani Donay, znajdującym się na parterze. Pierwszą czynnością Wiliama Tharpsa było zamknąć szczelnie drzwi i okna.

— Cóż to za ostrożność? — zaśmiała się lekko pani Donay. — Czy pan ma nam coś ważnego do powiedzenia?

— Nie, proszę pani — odparł detektyw — lecz chciałbym jeszcze pomówić poufnie o sprawie, która nas tak wszystkich żywo obchodzi. A przede wszystkim chcę się zapytać, czy pani i pan pułkownik nie mają nic przeciwko temu, abym ja na własną rękę, bez współudziału policyi, zajął się śledztwem?

— Ależ, kochany panie! — wystąpił natychmiast pułkownik Ricotte — Prosimy nawet o to pana bardzo gorąco. Będziemy szczerze zadowoleni, jeżeli się pan przyczyni do wyjaśnienia tej tajemnicy, która z każdą chwilą staje się dla nas mniej zrozumiałą. Gdyby pan był sam nie zjawił się u nas, byłibyśmy z wszelką pewnością prosili o udzielenie nam swojej pomocy.

— Tak jest! — potwierdziła słowa wuja pani Donay — Odkąd zauważyłam, że się pan zainteresował tą sprawą, czuję się o wiele spokojniejszą i właśnie przed chwilą, na peronie rozmyślaliśmy z wujem, jakby pana uprosić do działania w tym kierunku.

— Słowa łaskawej pani pochwlebiają mi niewymownie. — odparł Tharps uprzejmie — Jak pani widzi jednak, zachęcać mnie bardzo nie trzeba do podobnej roboty. Wszelkie ciekawe zbrodnie interesują mnie żywo i z całym zamiłowaniem przystępuję do prowadzenia śledztwa.

— Oh! Kochany panie — przerwał pułkownik Ricotte — wiemy aż nadto dobrze, że powoduje panem jedynie tylko amatorstwo i upodobanie przedmiotu.

— Zechcą więc państwo, skoro porozumieliśmy się w tym względzie, uprzedzić służbę, aby gotowa była do wykonania wydanych przezemnie rozkazów, jeżeli tego zajdzie potrzeba.

— Najchętniej. — odpowiedziała pani Donay — Wuj się tem już zajmie, nieprawdaż?

— Dobrze, moja kochana — rzekł pułkownik powstając i zmiierzając ku drzwiom.

— Niema jeszcze nic pilnego, panie pułkowniku! — zawołał Tharps, powstrzymując go — Teraz chciałbym państwa jeszcze prosić o pewne szczegóły, dotyczące się pana d'Orwalda.

— Służę panu! — rzekł pułkownik, siadając na dawnym miejscu — Wątpię jednak, czy zadowolimy pana ciekawość. Pan d'Orwald był do ostatniej chwili tak poprawnym i sympatycznym gościem, że nie usłyszy pan nic więcej, prócz pochwał, któreśmy już przed panem i sędzią śledczym wytoczyli.

— Ale może pan pułkownik, lub pani — rzekł Wiliam Tharps, zwracając się do młodej kobiety — zauważyła wczoraj jakąś choćby lekką zmianę w zachowaniu się jego.

— Żadnej zupełnie. — oświadczyła stanowczym głosem pani Donay — Pan d'Orwald był uprzejmym i wesołym, jak zawsze i nic w jego zachowaniu nie zwróciło szczególnej mojej uwagi. Zaszła tylko jedna drobna okoliczność, która mogłaby rzucić pewne światło na dalsze wypadki...

— A ta okoliczność? Łaskawa pani, proszę mówić wszystko, najdrobniejszy epizod jest dla mnie ważny.

— Jak już wspominałam tym panom z policyi — mówiła dalej pani Donay — przy obiedzie pan d'Orwald objawił nam chęć pójścia wieczorem do teatru i w tym celu przebrał się w strój wieczorowy. Ale następnie odstąpił od tego zamiaru, wymawiając się bólem głowy i pozostał w salonie wraz z innymi gośćmi, aż do zwykłej godziny rozejścia się.

— Powiedziała pani „wymawiając się bólem głowy” — podjął Wiliam Tharps, który słuchał w skupieniu słów pani Donay — Czy w tem wyrażeniu się pani jest intencja, którą zapamiętać mi należy?

Młoda kobieta zdawała się być zdziwioną tą uwagą detektywa i milczała chwilę zakłopotana, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Mój Boże... — odezwała się wkońcu — czy ja wiem... zdawało mi się... że ból głowy, na który uskarżał się pan d'Orwald, nie dokuczał mu tak bardzo.

— Ah! Tak! — szepnął Tharps, patrząc przenikliwie na mówiącą.

Pułkownik Ricotte, widząc zmieszanie siostrzenicy, przyszedł jej z pomocą.

— Pewnem jest — rzekł — że niedyspozycja naszego młodego przyjaciela nie była niepokojącą. Być może, że starał się zapanować nad nią i nie chciał nas przestraszać swoją zgnębioną twarzą.

— Oh! Mój wuju, na to przypuszczenie nie zgodzę się. — przerwała pani Donay — Pan d'Orwald czuł się u nas, jak u siebie w domu i nie potrzebował do tego stopnia kępować się nami.

Bystre spojrzenie pana Ricotte przerwało dalsze słowa młodej kobiety.

— Należałoby może przypuścić — wyrzekł powoli Wiliam Tharps, nie zauważwszy pozornie tego spojrzenia — że ból głowy pana d'Orwalda maskował poważniejszą przyczynę, dla której pozostał w pensjonacie, zamiast udać się do teatru. Może lękał się jakiego spotkania, napadu, lub czego podobnego...

Pani Donay była silnie wzruszoną. Przypuszczenie mego przyjaciela wprowadziło ją w widoczne zdumienie i nie była w stanie słowa wymówić.

— Eh! co znowu! kochany panie! — zawołał pułkownik Ricotte. — Nasz lokator, dzięki Bogu, nie wyglądał na tchórza, którego cień własny przerazić może, nieprawdaż, kochanko?

Pani Donay skinęła tylko potwierdzającym ruchem, a Tharps nie dał żadnej odpowiedzi na tę uwagę.

— Czy pan d'Orwald nie miał jakiej znajomości kobiecej? — zapytał po chwili.

— Nic o tem nie wiem — odpowiedział pułkownik.

— W każdym razie nie w naszym pensjonacie — pospieszyła dodać pani Donay.

Wiliam Tharps uśmiechnął się lekko i zapalił papierosa, patrząc zagadkowo przed siebie.

— No, mogliście państwo o tem nie wiedzieć.

— Pensjonat mój cieszy się od założenia jak najlepszą opinią — oświadczyła urażona cokolwiek pani Donay. — Nic podobnego nigdy w moim domu nie zauważyłam.

— Być może... być może... — mruknął do siebie Wiliam Tharps.

Wejście dwóch osób, nie wiedzących o obecności naszej w gabinecie, przerwało rozmowę. Byli to goście pensjonatu. Spozrzęglszy nas, chcieli się wycofać, ale Tharps z taką uprzejmością sprzeciwił się temn, iż pozostali.

Nowymi przybyłymi był markiz da Santa-Cruza i pan Gallmore, bogaty Amerykanin.

Byli jeszcze pod wrażeniem dokonanego morderstwa na osobie pana d'Orwalda i przyszli zasięgnąć u pułkownika Ricotte jakich wiadomości. Obecność sławnego detektywa angielskiego przyjęli z wielkim zadowoleniem, zapewniając, że wpłynie ona dodatnio na uspokojenie wzburzonych umysłów gości pani Donay.

Markiz da Santa-Cruza był Hiszpanem. Wymowę miał śpiewną, przeciągłą i wyrażał się dobranemi, wytwornemi słowami. Wzrostu był średniego, twarz miał podługną o kolorystyce ciemno oliwkowej i ubrany był z drobiazgową starannością i gustem. Na palcach jego błyszczało kilka drogocennych pierścieni.

Tworzył on kontrast zupełny ze swoim towarzyszem. Tamten był wysoki, barczysty, o jasnych,